

Jadwiga Sudnik/z d. Ksieniewicz/

Os. Przyjaźni 22 d m. 33

61 - 689 Poznań

T/1440/π wankurs

© ARCHIWUM WOJACZKI

O k u p a c j a      1939 - 1944 r.

Przed wojną mieszkaliśmy przy samej granicy polsko - sowieckiej. Na naszym polu stała strażnica KOP-u a na łące były słupy graniczne. Choć granica była bardzo strzeżona, ale od czasu do czasu ktoś, szczególnie Polacy uciekali na polską stronę i opowiadali o terrorze stosowanym przez Sowietów. Jednego uciekiniera Bułchata Sowietci zastrzelili na naszej stronie. Nie miał szczęścia, gdyż do lasu miał kilkanaście kroków i byłby uratowany.

17 września 1939 roku wojska sowieckie przekroczyły granicę. Na naszym odcinku była sowiecka straż graniczna, która po opanowaniu polskich strażnic cofnęła się, a dalsze tereny zajmowały wojska z głębi terytorium ZSRR. Dla nas był to szok tak ogromny, że nie wiedzieliśmy co robić. Byliśmy wychowani w duchu ogromnego patriotyzmu i religijności. W szkołach wpajano nam dumę z przynależności narodowej i wrogość do komunizmu. W domu opowiadano o okropnościach rewolucji, w której zginęło wiele osób z naszej rodziny. I w jednej chwili wszystko runęło, a my zostaliśmy bezbroni, wystawieni na furię i agresję zniecierpliwionego wroga. Młodsza siostra dostała takiego szoku, że nie jadła, uciekała w pole i krzyczała, że nas wynordują. Ale powoli sytuacja się klarowała.

Chłopi, którzy wyskakiwali ze skóry w czasie witania Armii Czerwonej, estygli w zapale i całą uwagę skierowali na grabież. Ograbiono strażnicę KOP-u, ograbiono sąsiednie majątki i Polaków z miasteczka. U nas zrabowano wszystkie jabłka z sadu. Na razie dane nam spokój, gdyż trochę się nas krępowali, a pozatym zaliczaliśmy się do kułaków, a kułaków narazie nie ruszano. Czekano na decyzję władz. Chłopi w swoim zapale nieco estygli, gdy spotkali się ze swoimi rodakami z zagranicy, którzy im opowiadali o nędzy, jaką cierpiała tam ludność.

U nas nie zamykały się drzwi, bez przerwy przychodzili chłopi z zagranicy żeby coś kupić, a przy okazji zawsze coś skradli. W tym roku urodzaj był nadzwyczajny, to też zboża mieliśmy bardzo dużo, które oni kupowali płacąc bardzo wysokie ceny. Bez żenady mówili nam, że zostaniemy wywiezieni na Sybir, gdzie pieniądze się przydadzą, a zboża i tak nie pozwolą zabrać.

Mieli rację i my doskonale zdawaliśmy z tego sprawę.

Nadeszły Święta Bożego Narodzenia, wigilię tego roku mieliśmy nadzwyczaj dramatyczną, zamiast radości smutek i płacz. Chociaż mieliśmy duże dań, wszyscy prawie nic nie jedli. Siostra zaczęła śpiewać kolędę, ale urwała i zaczęła płakać. Na pierwszy dzień Świąt do kościoła nie pojechaliśmy, gdyż wszyscy byli jak przygnębieni, że nie byli zdatni do żadnej aktywności. W południe ku naszemu przerażeniu zobaczyliśmy 2 sowieckich żołnierzy. Byliśmy pewni, że przyszedli nas aresztować. Bracia ucieki przez okno i gdzieś ukrywali się w budynkach, a my udając niewiniątka zgromadziliśmy się w jadalni. Okazało się, że byli to sowieccy żołnierze z pogranicza, którzy chcieli rzekomo zobaczyć, jak Polacy obchodzą Święta, ale faktycznie to chcieli coś zjeść. Apetyt mieli nadzwyczajny, a gdy podpili, gdyż wódki im nie skąpiliśmy, szczerze opowiadali o biedzie i nędzy wśród swoich i bardzo się dziwili, że w Polsce ludzie żyli tak dostatnio. Bardzo nas prosili, żeby nikomu nie wspominać o ich pobycie, gdyż kontakt wojska z ludnością cywilną był surowo zakazany.

Po południu przyszedli składać życzenia chłopcy ze wsi, ale były to życzenia obłudne, w rzeczywistości chcieli tylko się najęść i dowiedzieć, w jakim nastroju Polacy obchodzą Święta. We wsi było dużo konfidentów i musieli coś donosić. Jedna rodzina była nam bardzo życzliwa, gdyż matka ich była katoliczką i wyszła za mąż za chłopca. My im dużo pomagaliśmy, to też oni nam się rewantowali życzliwością i pomocą. To też od nich wiedzieliśmy, co się we wsi dzieje, jakie są nastroje.

W naszej wiosce był też sowiecki dygnitarz - deputowany do senatu najwyższego w Moskwie "Diemian Sewczuk". Ponieważ nasz ojciec uratował mu życie w 1920r., on się poczuwał do rewantu i stale to podkreślał. W rzeczywistości nas bronił, gdyż NKWD bardzo liczyło się z jego opinią i on decydował o wszystkim. Otóż on nam radził, żeby bracia poszli do pracy w mieście, gdzie będą traktowani jako inteligenci, a nie kulacy. Jeden brat miał skończony uniwersytet w Wilnie, drugi maturę, a siostra była nauczycielką. Tak też postąpiliśmy. W domu została Mama, ja z siostrą i brat, który chociaż miał skończone gimnazjum i mógł z powodzeniem dostać pracę, ale nie mógł zostawić gospodarstwa jako jedyne źródło utrzymania.

Po Świętach spotkał wszystkich, całą ludność straszny szok. Otóż wszystkim mężczyznom kazano jechać na Polesie i wywozić tzw. KUBY.

Ci, którzy nie mieli koni musieli postawić 10 - 15 kubików tj. m<sup>3</sup> drzewa. Ci, którzy mieli konie musieli to drzewo wywozić do rzeki. Nasi ludzie nie znali tej pracy. Nie mieli sprzętu, poza tym trzeba było tam przebywać nawet do 2 tygodni, co stwarzało trudności w wyżywieniu i zakwaterowaniu. Teraz dopiero odczuli rozkosz władzy radzieckiej, ale narzekać nie wolno było, gdyż konfidenci czuwali wszędzie. Dla postrachu musiano kogoś aresztować, żeby udowodnić, że wróg jest wszędzie. Konie naszych chłopów nie nadawały się do tej pracy, darła się uprzęż, ludzie odmrażali ręce i nogi, ale musieli pracować, gdyż wiedzieli, że czeka tych, którzy normy nie wykonują. Nie było żadnych reguł ani przepisów, ile należy wywieźć. Gdy ktoś wywiózł swoją normę i wrócił do domu, to zaraz natychmiast dostawał nowy nakaz. Kulaacy dostawali podwójne normy, gdyż według władzy mieli większe możliwości, lepsze konie i owies na obrok. Brat absolutnie tej pracy nie znał, ale jechał w wyznaczony rejon, mieszkał u jakiegoś chłopca, płacił mu umówioną kwotę w zbożu lub pieniędzmi i ten wykonywał normę i dostarczał kwit. Mimo to odmroził ręce i nogi. Mróz tego roku był szczególnie dokuczliwy /20-30°C codziennie/. Dostarczyliśmy do siel-sowietu zaświadczenie lekarskie, że brat ma odmrożone kończyny, ale nikt tego nie respektował i przysyłano nowy nakaz. Sam dojazd /odległość 30 km/ wymagał odpowiedniego obuwia i ubrania, jazda na gołych saniach dawała się dobrze we znaki i niejednego zwała z nóg. Po drodze atakowały wilki, więc należało jechać zwartą kolumną. Brat zabierał kilku chłopów, którzy nie mieli koni, zatem czuł się bezpieczny.

W lutym 1940 roku poraziła wszystkich wiadomość o wywózce na Sybir. Wywieziono naszą kuzynkę z małymi dziećmi, która była żoną osadnika, oraz córkę naszego sąsiada. Po miesiącu dostaliśmy list z Kazachstanu, z prośbą o paczki. Ponieważ u nas żywności nie brakowało, wysyłaliśmy co tydzień 1 paczkę w nadziei, że choć część dojdzie do adresata. Paczki te były dla nich jedyną szansą na przetrwanie.

Wiosną obsialiśmy część pola, a kilka hektarów obsiali chłopcy za naszą zgodą. Kontyngenty były tak duże, że opłacało się mieć jak najmniej ziemi ornej. Należało dostarczyć zboże, mięso, mleko, jajka a nawet miód. Ceny za dostarczone artykuły były symboliczne. Ale my mieliśmy duży zapas pieniędzy, gdyż wszystkie zboże sprzedaliśmy chłopom ze wschodniej części. Teraz te pieniądze były bardzo przydatne.

Urzednicy, ktorzy przyjechali ze wschodu, byli bardzo ubodzy - nie mieli zadnego dobytku. Pensje wystarczaly jedynie na skromne utrzymanie. To tez za zapowke mozna bylo uzyskac kwit o dostawie kontyngentu. Np. dostarczone 200 kg zboza, a kwit opiewal na 400 kg. Jak oni potem sobie radzili, nie wiadomo. Z pewnoscia kwity byly falszywe, ale tego nikt nie sprawdzal. Bardzo przydatny byl bimber, ktorym nalezalo oplacac rozne uslugi, oraz miec w zapasie na rozne poczystunki. Pod byle pretekstem nieraz przyjezdziel jacyś partyjni ze wschodniej czesci dla zwyklej ciekawosci, ale napędzali nam strachu. Przychodzili urzednicy, milicjanci i chlopi, ktorych nalezalo poczystowac, gdyz nie wiedzieliśmy, jaki maja zamiar.

Zwyczaj nakazywal podac butelke bimbrow i skwarki ze sloniny, wiosna jajecznicę. Nie wszyscy mieli mozliwosc pedzenia bimbrow, gdyz nalezalo miec aparat, na ktory chlopi nie mogli sobie pozwolic. My mieliśmy kocioł do parowania kartofli, a rurki chłodnicze kupowaliśmy od Żyda. Schładzane śniegiem. Nieraz trzeba bylo dyżurować całą noc, gdyż dniem obawiano się milicji. Podobno był zakaz i surowo karano, ale nikt tym się nie przejmował, gdyż milicjanci sami pili, gdzie się dało. Największą trudnością był brak dróżdzy. Przemycano je z Generalnej Guberni. Kolega mego brata Bronisław Halicki mieszkał w Warszawie i trudnił się zarobkowo przywożeniem dróżdzy. W lutym 1940 r. został przyłapany i szmuglu zaprzestał. Potem mieliśmy z tym duże trudności. Żydzi wykorzystywali tę sytuację i windowali wysokie ceny.

W 1940 roku kiedy ukończyliśmy roboty wiosenne kazano nam jechać na budowę autostrady koło Snewia, odległego od nas 30 km. Musieli jechać wszyscy zdolni do pracy. Pobliskie wioski były tak zatłoczone jak na odpuscie. Spaliśmy w stodołach lub w mieszkaniach na podłodze. Cierpieliśmy niewygody i my i miejscowa ludność, ale nikt nie miał prawa powiedziec słowa, bo zdarzaly się aresztowania za brak dyscypliny lub unikania pracy.

Pracowaliśmy tam 2 tygodnie, potem dostaliśmy 2-3 dni wolnego na uzupełnienie pożywienia i zmianę bielizny i musieliśmy wracać ponownie. Robotami kierowali brygadziści - Żydzi, byli bezwzględni i czepiali się o byle co. Jedynie zapowka zmieniała ich nastawienie. Mężczyźni wozami i taczkami wozili piasek, a kobiety kopały i niwelowały teren.